№ 9 WARSZAWA, DNIA 1 MARCA 1913 ROKU ROK III



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

Książę Józef Poniatowski.

Ciąg dalszy.

Podjęty został beznadziejny odwrót z pod Moskwy. Topniały gwałtownie z dnia na dzień w okropnych przeprawach tego odwrotu osłabione kadry polskie, wysuwane dla osłony w straży tylnej, w ustawicznych walkach z nieprzyjacielskim pościgiem. Z zakrwawionem sercem patrzył stroskany wódz na rzednące swoje szeregi, sam w najcięższych potrzebach obecny, zawsze w ogniu na przedzie. Dojeżdżając do Wiazmy w początku listopada, na rekonesansie padł z koniem w skoku, zwichnął nogę i stłukł kolano, krew rzuciła mu się ustami.

Odtąd zdawszy dowództwo Zajączkowi, jechał karetą z rannym adjutantem, Arturem Potockim.

Nad Berezynę przybył książę w końcu listopada, w przededniu katastrofy, wyczerpany od udręczeń, zimna i głodu; dano mu parę gorących kartofli, które jadł ze smakiem, ale i płakał, patrząc na nędzę żołnierza.

W pierwszej połowie grudnia stanął w Warszawie, dokąd za nim po dwóch tygodniach nadciągnęły przed Blachę pierwsze niedobitki V korpusu, paruset ledwie ludzi wynędzniałych, lecz z artylerją i sztandarami! *)

Książę Józef, chory ciężko, zgnębiony, nie mógł jednak pogrążyć się w rozpaczy, usunąć się z widowni politycznej. Niepowodzenie kampanji Napoleona dotykało przedewszystkiem Księstwo War-

*) Szymon Askenazy: «Ks. Józef Poniatowski», str. 214.

szawskie, zagrażając jego egzystencji. Należało robić wszystko, co by mogło je ocalić.

Zwoławszy radę ministrów, która była od chwili wieści o niepowodzeniu Napoleona, pod wpływem dyplomacji rossyjskiej, Poniatowski z wielką godnością zdawał sprawę z nieszczęsnej kampanji.

„Przybywszy tu stosownie do wyższych rozkazów, jako dowódca korpusu V, z wojska narodowego składającego się, sądzę być moim obowiązkiem, donieść Radzie równie smutną, jak nietajoną powszechnie wiadomość, że korpus rzeczony, walecznością swą i miłością ojczyzny mierząc wszystkie tej tak krwawej kampanji nadarzające się trudy, niewygody i niedostatek, skutkiem poświęcenia się swojego i opierania z odwagą natarczywości nieprzyjaciela, zupełnie prawie zniszczony został w ludziach, koniach, zaprzęgach etc., tak dalece, że mała liczba pozostałych, powracając z orłami i artylerją, w zupełnej swojej całości utrzymaną, nie przynoszą z sobą jak tylko honor, rękojmię dalszych swych poświęceń i tę drogą pociechę, że wszystko uczynili i uczynią co po nich miłość króla i ojczyzny wymagają”.

Poczem zajął się niezwłocznie organizowaniem nowego wojska i wśród nieskończonych trudności, w krótkim stosunkowo czasie utworzył kilkunastotysięczną armję.



Ney w tylnej straży osłania odwrót Wielkiej Armji z pod Moskwy.

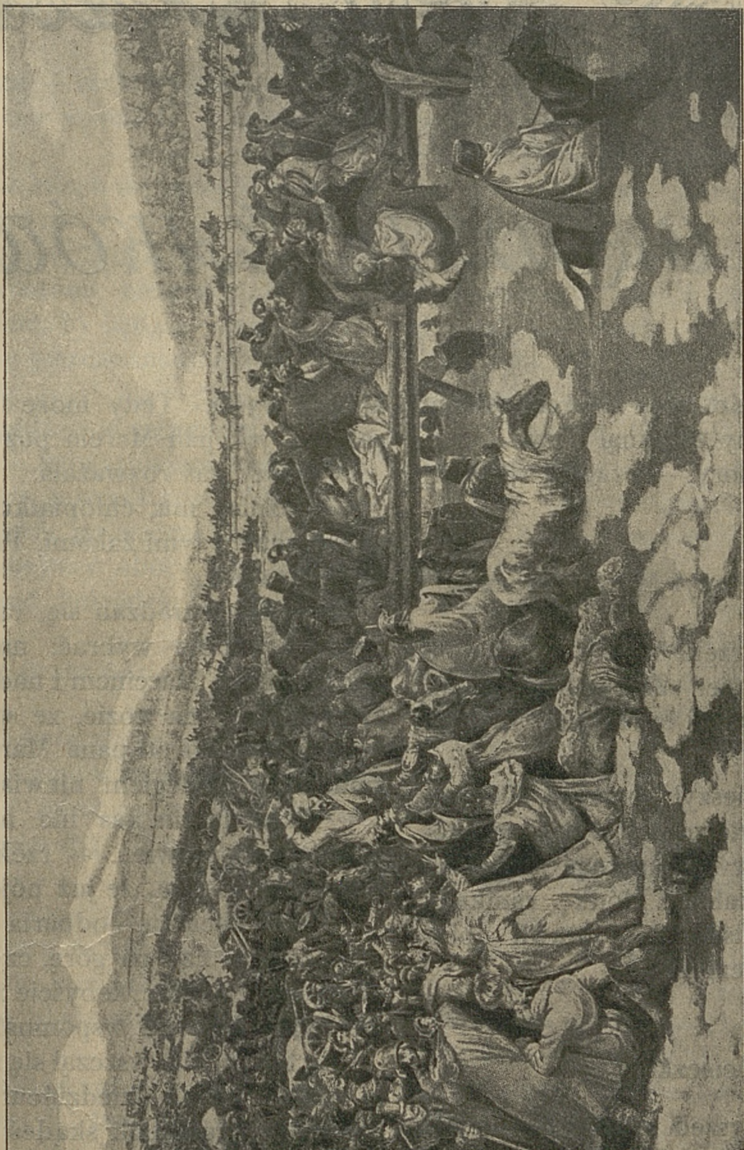
Teraz zaczęły się nadludzkie niemal trudy dla ks. Józefa. Zewsząd wyłonili się wrogowie, którzy czyhali na Księstwo Warszawskie. Sprzymierzona niby z Napoleonem Austrja, weszła z Rosją w pertraktacje, które skończyły się ustąpieniem wojsk polskich z Warszawy dn. 5 lutego 1813 r.

Ks. Józef opuszczał Warszawę, by jej więcej nie ujrzeć. Ciągnąc na Piotrków i Częstochowę, dotarły wojska polskie do Krakowa, skąd jednak także po jakimś czasie Poniatowski ustąpić musiał, wybie-

rając pomiędzy koniecznością rozbrojenia wojska, lub ustąpienia, tym razem już z ziem polskich, by się połączyć z armją Napoleona.

wreszcie wódz do Zittau, a stamtąd udał się wprost do Drezna dla zobaczenia się z Napoleonem.

Teraz dopiero poznał cesarz całą war-



Przejście przez Berezynę (w dn. 21 Listopads 1812 r.).

Należało uzyskać prawo przemarszu przez Austrję, która ciągle prowadziła politykę dwulicową, nie zrywając oficjalnie przymierza z Napoleonem—i prowadzącą bezustanne pertraktacje z Rosją. Po tym długim i uciążliwym przemarszu dotarł

tość bohaterskiej, rycerskiej duszy Poniatowskiego i teraz dopiero pozbył się całkowicie pewnej dla niego nieufności, która nieraz niekorzystnie się odbijała nawet na akcji wojennej, szczególniej podczas kampanji z r. 1812. *D. n.*

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

Puszczono go do izby. Marcin skinął na Sebastjana, aby zamknął drzwi.

— Idź do komory! — rozkazał Hieronimowi.

— Nie pójdę!

— Idź! — powtórzył Marcin groźnie.

— Nie!

— Smyku... — rzekł Marcin zduszonym głosem, zbliżając się. Zaszamotał się jak ze źrebcem, którego łowią pierwszy raz na błoniu.

Sebastjan pośpieszył pomagać. Zdyszani, we dwu, ledwie zdołali wciągnąć Hieronima do komory i zamknąć drzwi na zasuwę. Marcin założył kłódkę, zamknął, zabrał klucz. Odsapnął, poprawił ubranie i poszedł wieczerzać.

Ucieczka.

Żacy, gdy posłyszeli groźby o gniewie pana Marcina, roztropnie sądzili, że im wcześniej ruszą w dalszą drogę, tem będzie lepiej. Ale gospodyni nie tak myślała.

— Co zaś?—rzekła. — Ani zapyta o was, nie bój się! Mało to ma na głowie! Hieronima, nie może być inaczej, jeno że ujmą i wyślą. Tedy może i was razem zabiorą, jak pan Marcin pozwoli.

W duszy zaś rozważała:

— Raźniej mu, chłopiątku memu, będzie jechać z tymi żakami. Pacholęta, zda się, poczciwe...

Żacy zaś naradzali się, choć nie wiedzieli, co sobie wybrać: nocleg, strach przed panem Marcinem i nadzieję podróży wygodnej, na wozie, ze spiżą—czy też bezpieczeństwo od pana Marcina i drogę żmudną, z noclegiem niewiadomo gdzie.

— Pan Marcin nas nie będzie trapił, aliści pachołkowie... — rzekł wątpliwie Pietrek. — Chyba, że już pójdziem.

— Nie bójcie się—odparła gospodyni—puszczę was czy na górę, czy za kuchnią do komory na noc, żebyście im na oczach nie byli. Ani was wspomną!

Gdy tak radzili, wszczął się ruch i okrzyki zdziwienia na dziedzińcu: dziewki wybiegły, powychodzili skądeś tu i tam ludzie z obór, ze stajni, ze stodoły.

— Ooo! Hieronima wiodą!

I patrzyli wszyscy ku drodze leśnej.

— Żywo!—rzekła Margola—iść nie pora! Leźcie na górę, nikt was nie ujrzy. Jest tam słomy dość, spać będzie na czem. Byleście się nie bardzo ruszali.

Żacy pośpiesznie wspięli się po drabinie na górę.

Wnet posłyszeli kroki na dole w komnatach, i jak Hieronima zamknięto w komorze.

— Pod nami — rzekł Pietrek.

— Trzeba go wypuścić — powiedział Stach.

— Iście. Ale niech się przódzi wszyscy pokładą.

— Wtedy gorzej będzie, bo cicho, a my miejsca nieświadomi, ciemno...

— Jak będzie, to będzie — rzekł Pietrek.—Terazby jeszcze snadniej nas chwycili i jego też.

czekali, siedząc w ciemności.

Główna to i najważniejsza była rzecz, aby pan Marcin poszedł spać. Ale jak na złość, pan Marcin po wieczerzy wyszedł, snadź, żeby obejrzeć obory, obejście całe. Nie wiedzieć, ani gdzie śpi, ani kiedy wróci.

— A gdyby przez okno?—rzekł Stach szeptem.

— Skóra cię świerzbi? — spytał Pietrek. — Kiedybyśmy jeno wyszli, jużby nas psi roznieśli, a nie bądź psów, tedy ludzie. I jeszcze najpewniej okna do komory niema.

— A jak gospodyni powie o nas? — odezwał się Stach niespokojnie.

— Jeszcze nie powiedziała — zaszeptał Pietrek — tedy siedź cicho; nie wywołuj wilka z lasu.

I namyślał się, co robić, siedząc w kuczki obok Stacha. W tem miejscu na deskach nie było gliny nałożonej jak zwykle bywa. Widać dawniej tędy było wejście z dołu.

— A żeby było wyjąć deskę? — rzekł Pietrek.

Zmacali, gdzie była przybita do belek drewnianymi kołkami.

— Kołki mocne, nie ruszyć. Twardo siedzą.

— Nożem—rzekł Stach.

— Ss... nie teraz. Posłyszą — ostrzegł Pietrek.

— Ja cicho—odparł Stach, przysuwając się do belki.

Powoli i ostrożnie zaczęli drapać nożami drzewo wokół kołków i drążyć pomału. Potem podważyli—ten i ów kołek dał się wyciągnąć. Ale deska skrzypnęła przeraźliwie.

Zmartwieli, nieruchomi, czekając co stąd wyniknie. Ale w całym domu trwała najgłębsza cisza. Tylko w kuchni słychać było, jak dziewki swarzą się przed Margolą. Jeden głos wołał:

— To nie ja. Tak mi święty Kapistranie dopomóż!

A inne dziewki wokół:

— A juści! Nie ona! A kto chodził po wodę?

Mało poczekawszy i gdy ich strach odszedł, znów zaczęli próbować. Teraz już lekko poszło. Jeszcze skrzypnęło raz i drugi, potem deska się ruszyła. Zdjęli ją ostrożnie, odłożyli na bok. Trochę słomy i gliny posypało się przez dziurę do izby na dole.

— Co tam?—posłyszeli szept.

— Ts... — mruknął Pietrek. — Wyswobodzim cię.

— Coście za jedni?

— Żacy, na naukę idący.

Hieronim umilkł na chwilę, zdziwiony.

— Kto was tu puścił?

— Margola, gospodyni. Ale nie czas gadać.

— Cyt — rzekł Hieronim—Marcin idzie. Czekajcie aż uśnie.

Wszystko uciszyło się.

Marcin wszedł, wziął mały kaganek w kuchni, spojrzał czy zasuwa do komory zamknięta i poszedł do dalszej izby, gdzie sypiał.

Słychać było jak zatrzeszczało łoże, gdy się układał. Potem przyszedł Seba-

stjan, który sypiał na ławie u drzwi pańkich. Marcin go zapytał czy wszystko gotowe.

— Gotowe! — odrzekł Sebastjan.

— Bacz, byś nie zaspał—rzekł jeszcze Marcin. — Jak ja wyjdę obroki dawać, to twoje konie już mają być zaprzągnięte, a wszystko, co bierzesz, na wozie. Trza wam wyjechać, zanim słońce zejdzie.

— Wedle rozkazu—odrzekł Sebastjan.

Hieronim ścisnął pięści, słuchając.

— List zaszyła ci Margola?—spytał Marcin.

— Zaszyła w pas — odpowiedział Sebastjan niewyraźnie.

Potem umikli. Wkrótce równy i głęboki oddech śpiących począł jednostajnie mierzyć ciszę domu.

— No — odezwał się Hieronim — teraz pora.

— Ty się, Stachu, wychyl, on cię chwyci za rękę i wyciągniem go — rzekł Pietrek.

Stach położył się, jedną ręką objął belkę, a drugą spuścił w ciemnię komory, jak w studnię.

Hieronim zaraz go namacał, chwycił i dźwigał się w górę, aż Stach stękał. Sapali obaj, a Pietrek zduszonym głosem powtarzał:

— Ciszej! Ciszej! — i sam także ciągnął Hieronima, jak się dało.

Wreszcie wydźwignęli go na wierzch.

— Ha!—rzekł Hieronim głosem ledwie dającym się pohamować z radości—mili moi! Wolnym!

— Teraz nas stąd wywiedź — rzekł przezornie Pietrek — by nas snadź pan Marcin nie dostał w swoje ręce.

— Pojdźcie—odpowiedział Hieronim — jeno cicho.

Powiódł ich na drugi koniec góry i usunął parę gontów.

— Ja zejdę pierwszy — rzekł — zbiorę psy i odwiodę na drugą stronę podwórza, by was nie poczuły. Wy śmiało skaczcie na ziemię, bo dach tu nizki. Zaraz dalej jest płot. Przeleźcie i czekajcie na mnie.

To powiedziawszy, prześliznął się przez otwór jak kot i znikł. Po chwili żacy posłyszeli, jak mówił do psów i odchodził z nimi. Wtedy obaj wyszli na dach i spuścili się na ziemię. Płot był tuż, z desek, wysoki, kryty gontami.

Wspięli się i zeskoczyli na drugą stronę.

Tymczasem Hieronim, aby się lepiej zabezpieczyć, umyślił wpuścić psy do owczarni i tam zamknąć, zwłaszcza, że wiedział, że nikt tak mocno nie śpi jak owczarz, choć był czarownikiem. Dopiero zamknąwszy psy, pomału i ostrożnie przeszedł dziedziniec, przesunął się przez szparę koło wrót i podążył do żaków.

— Gdzie chcecie iść?—spytał.

— Na krakowską drogę — odpowiedzieli.

— Wy idziecie do Krakowa? — zapytał, nie wierząc uszom.

— Cóż?—odparł Pietrek.—Gdzie nauka, jeśli nie w Krakowie?

— Sami idziecie, po dobrej woli?

— Iście—odpowiedzieli.

Hieronim zmilkł, i ruszyli w stronę łąk.

— A ja — rzekł Hieronim po chwili — by mnie porąbali, by mnie posiekli, tedy się nie dam.

— Dlaczego?

— Chcą ze mnie księdza uczynić—odpowiedział, spuszczając głowę.

— A ty nie chcesz?

— Ja?—zapytał—ja? Klechą być! A naco mi wtedy wszystka moja siła, moje męstwo? Pacierze mamrotać i w chłopskich brogach kopać, na dziesięcinę co lepsze snopy wyciągając!

— Ba!—rzekł Pietrek—nie każdy ksiądz na plebanji siedzi i chłopskie snopki zbiera. A biskupem być? W mieścieś nie bywał? Ksiąg uczonych, wina dobrego, księ-

ża mają w bród. Domy piękne, ogrody, mądrze żyć umieją.

— To ty będziesz takim?

— Tak — odrzekł Pietrek. — I jeszcze możniejszym.

— Ja nie — powiedział Hieronim. — Ja pójdę wojować, z bratem starszym, Andrzejem.

— Czemuś tedy nie rzekł, by cię do niego posłali, zamiast do Krakowa?

— Usłuchałby mnie to Marcin? I zostać chciałem w domu.

— A teraz?

— Teraz?

Szli miękiemi łąkami. Noc była pogodna, pełna gwiazd. Lekkie opary białe wisiały nad łąkami. Głosy wsiąkały w noc. Tylko ustawicznie z daleka, od wsi, słychać było naszczekiwania psów.

Umilkli wszyscy i szli pilnie.

— Pójdę z wami! — rzekł Hieronim.

— Pójdź! pójdź! — zawołali razem.

— Zobaczysz, jako się idzie, jako ludzi się spotyka coraz innych: dziwy, co się nieraz usłyszy! Aniby ci się kiedy w domu przyśniło, a przecie się dzieje na świecie — rzekł Pietrek.

— I kraj, jaki coraz inszy, wsie coraz inaczej budują, rzeki różne przechodzić trzeba, miasta sławne... — odezwał się Stach.

— W Krakowie, przy królu, będą wiedzieli, gdzie Andrzej wojuje—rzekł raźno Hieronim. — Byle nas Marcin nie schwytał! Będzie też zły, będzie, jak się opatrzy, żem mu się tak wymignął! Z Krakowa pójdę do Andrzeja.

D. c. n.

POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE.

opracował J. Szczawiński.

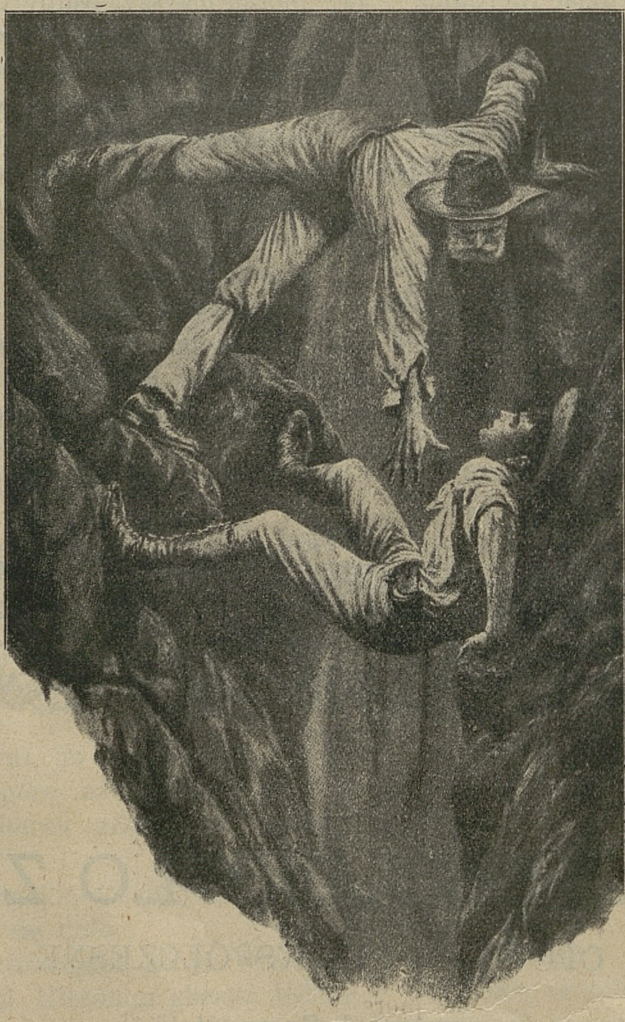
Ciąg dalszy.

Lecz energja znów w nich wstąpiła: wyciągnęli się na ziemi i o ile tylko można było, wychylili się po za brzeg skały. Przygotowani byli na to, że już go nie ujrzą, że pogruchotane członki jego spoczywają na dnie przepaści.

Jednak niezwykłe szczęście w tem nieszczęściu zrządziło inaczej. Chmurzyński dostał się w wązką szczelinę, w tak zwany komin i na odległości czterech metrów zatrzymał się.

Lecz jak okropne było jego położenie! Leżał, raczej wisiał w poprzek nad szczeliną z twarzą zwróconą do góry, chwy-

ciwszy się rękami konwulsyjnie małego wyskoku skały, nogami zaś opierając się o przeciwległą ścianę. Jego zeszpecona i wykrzywiona twarz dowodziła, jak bardzo się męczył i na jak straszny wysiłek kiem i turystą, lecz zejście do tego komina zdawało mu się bezcelowem szaleństwem. Gdyby nawet udało się zejść, to jakim sposobem możnaby wydobyć Chmurzyńskiego?



.... Hammerschmidt schwycił młodzieńca prawą ręką..

musiał się zdobyć, aby utrzymać się w takiej pozycji. Jasne było, że w tem zawieszeniu nie może się długo utrzymać i jeżeli wogóle możliwy jest ratunek, to musi nastąpić natychmiast.

Karol Monsard był dobrym gimnasty-

Ponieważ nieszczęśliwy obydwoma rękami trzymał się skały, nie miał więc nawet możności schwycić rzuconej linki.

Monsard był w rozpaczy, wołał jednak do przyjaciela, aby nie tracił odwagi.

Jan, który bezustannie patrzał w górę

i świadomie strzegł się, aby nie spojrzeć w straszną przepaść, skinął przyjacielowi głową, próbując nawet uśmiechnąć się.

W tym krytycznym momencie fermer zaczął spuszczać się do komina; na sposób wprawnego alpinisty wyciągnął się pomiędzy dwoma ścianami skał, rękami zaś chwytał się małych zrębów skalnych, podczas gdy nogi szukały oparcia na innej ścianie, a ciało pozostawało w zawieszeniu.

Tym sposobem udało mu się zbliżyć do Chmurzyńskiego. Na szczęście znalazł większy występ skały, na którym pewniej mógł wesprzeć ręce. Teraz przyszła najtrudniejsza część zadania: schwycenie i wyciągnięcie Chmurzyńskiego.

Monsard i Bob, którzy śledzili z góry każdy ruch, z zapartym oddechem patrzyli jak fermer tylko jedną ręką trzymał się skały, drugą zaś wyciągnął po Chmurzyńskiego.

Czyniąc ten ruch, zmuszony był tak głęboko przechylić się, że obydwaj świadkowie tej sceny mieli tego poświęcającego się człowieka za straconego. Zdawało się, że lada chwila straci równowagę i spadnie na Jana, a następnie wraz z nim w ziejącą przepaść.

Lecz zręczność fermera była również zdumiewająca, jak zimna krew i siła. Ani na chwilę nie opuszczał go spokój, nawet widok strasznej głębi nie wytrącił go z równowagi. Chwycił młodego człowieka wyciągniętą ręką w okolicach piersi za wełnianą koszulę i z całej siły wciągnął go muskularną ręką do góry.

Prawie niemożliwy na pozór ratunek udał się; fermer podniósł swego gościa tak wysoko, że ten również uchwycił się skały.

Tymczasem Monsard i Bob rzucili w komin długie lasso, które na szczęście mieli przy sobie, drugi zaś koniec jego przymocowali do skały. Fermer schwycił linę jedną ręką tylko — ponieważ drugą wspinał się—okręcił ciało Chmurzyńskiego pod ramieniem, zaplątał mocno zębami i zawołał do mężczyzn, znajdujących się górze, aby ciągnęli ciężar.

Po kilku minutach Chmurzyński stał już uratowany na skraju przepaści.

Teraz trzeba było szybko wyciągnąć fermera, zanim strasznie wyczerpany człowiek nie straci sił do reszty.

Opuścili więc raz jeszcze linę, tym razem z pętlicą; fermer wsunął swobodną rękę w pętlicę i kazał ciągnąć się w górę.

Był już najwyższy czas ku temu, ponieważ, jak sam później opowiedział, najwyżej kilka minut jeszcze mógłby się utrzymać.

Jan chciał złożyć serdeczne podziękowania dzielnemu obrońcy, lecz fermer nie pozwolił mu na to i prosił, aby więcej o tej sprawie nie wspominać.

Położyli się obydwaj, aby choć półgodzinny wypoczynek dać zmęczonym członkom. Dziwnem zdarzeniem żadnych poważnych obrażeń Jan nie otrzymał, tylko w niektórych miejscach miał zdartą skórę.

Był już późny wieczór, kiedy niewielkie towarzystwo wydostało się wreszcie na brzeg kanjonu. Postanowili przenocować w gospodzie, aby dobrze wypocząć po tej pełnej przygód wycieczce.

Dopiero następnego dnia przed południem wyruszono w dalszą drogę i długo zastanawiano się nad tem, czy zjawienie się w kanjonie czarnego Dika było przypadkowe, czy też Gonzales wiedział już o obecności swych prześladowców i wysłał Allana na zwiady.

ROZDZIAŁ VI.

Po dwóch dniach.

Chmurzyński czuł się już zupełnie dobrze po tym wypadku, który cudem tylko

nie stał się dlań śmiertelnym. Zrana, gdy fermer ze swemi gośćmi siedział przy śniadaniu. wpadł do pokoju cowboy Im z wiadomością, że z corralu *) porwano mu w nocy cielaka i dwie owce, tak, że tylko ślady krwi po nich pozostały! Tylko puma mogła być sprawczynią tego; prawdopodobnie ta sama, która przed ośmiu dniami uprowadziła kilka sztuk drobnego bydła.

Fermer był wściekły, gdyż czelność wielkiego kota, jak również wilków, przechodziła w ostatnich czasach wszelką miarę. Największe szkody wyrządzały pumy; pomimo, że te amerykańskie lwy są wogóle dość płochliwe i chętnie schodzą z drogi człowiekowi, wobec słabych zwierząt jednak są nie do uwierzenia krwiożercze. Rozumie się, najżarłoczniejszy z tych rabusiów nie byłby w stanie przez jedną noc pożreć cielaka i dwóch owiec, lecz zadawalał się on tylko krwią i był na nią tak łakomy, że napewno chętnie uprowadziłby jeszcze więcej zwierząt, gdyby to nie było dla niego za uciążliwe.

— Czas już, by znów tę hołotę trochę uprzątnąć—rzekł fermer.—Im, to mój najlepszy cowboy, najzręczniej zarzuca lasso, prawdziwy artysta pod tym względem. Już dwie pumy sprzątnął w ten sposób, mam nadzieję, że i tym razem uda mu się. Jeśli chcecie, moi panowie, jutro raniutko moglibyśmy wyruszyć na łowy. Założę się, że znajdziemy tego rozbójnika nad wodą, tam, gdzieśmy ostatni raz tamte dwie wytropili. Musimy wstać przed wschodem słońca, ponieważ puma idzie zwykle do wody o świcie.

Chmurzyński i Monsard cieszyli się bardzo projektem polowania, gospodarz zaś kazał cowboy'owi przygotować wszystko, niezbędne do tych łowów.

Następnego dnia na dwie godziny przed wschodem słońca wyruszyło towarzystwo, składające się z fermera, dwóch przyjaciół, Boba, Ima i dwóch innych jeszcze cowboy'ów, przez prerje w stronę wody.

Jeszcze noc ciężyła nad ziemią i tylko słaby blask półksiężyca tajemniczo oświecał daleki, cichy kraj. Od czasu do czasu słychać było przeraźliwe szczekanie węszącej za zdobyczą hyjeny lub też głuchy krzyk sowy, polującej na myszy. Dopiero, gdy jeźdźcy znajdowali się już blisko jeziora, ukryci za wielką grupą skał, zaświtało na wschodzie pierwsze fioletowe światełko poranka i zwolna rozszerzało się po całem niebie.

Jan rozcierał sobie na wpół zdrętwiałe ręce, gdyż noc była bardzo zimna, co w tej południowej strefie było zadziwiające.

Ukryci poza skałami myśliwi z napięciem obserwowali jezioro, oczekując ukazania się pumy. Dwaj przyjaciele posługiwali się lornetkami, lecz towarzysze ich nie potrzebowali tego pomocniczego środka, ponieważ ich bystrym oczom nic, nawet na dużą odległość, nie uszło. Wpatrywali się tak pół godziny, straciwszy już nadzieję doczekania się pumy, gdy dał się słyszeć cichy szept Ima, że puma zbliża się do jeziora.

Chodziło teraz o to, aby otoczyć zwierzę i przeciąć mu odwrót. Aby tego dokonać, trzeba było puścić konie galopem, a nikt z jeźdźców nie mógł ani na chwilę spuszczać pumy z oka.

Stosując się do wskazówek fermera, myśliwi puścili się szerokim łukiem, który, w miarę zbliżania się do jeziora, coraz ciaśniej zamykali. Puma zauważyła swych prześladowców, lecz zaskoczona nagle, nie wiedziała, w którą stronę zawrócić; zanim się wreszcie zerwała, było już dla niej zapóźno: koło myśliwych zdołało otoczyć ją ze wszystkich stron. Ziejąc, przyczaiła się bestja przy swym niedokończonym wczorajszym łupie i zda-

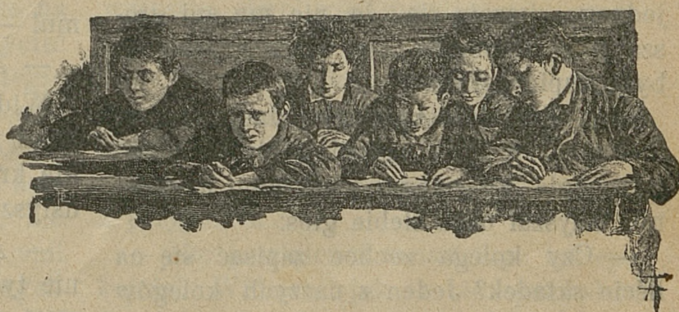
*) Zagrody.

wała się oczekiwać tylko odpowiedniej chwili, aby wymknąć się myśliwym.

Było to ładne, niezwykle duże zwierzę, przeszło półtora metra długie; w bezgrzywnej głowie gniewnie błyszczały oczy, a puszysty ogon bił o twardą skałę. Nic nie było łatwiejszego dla wprawnych strzelców, jak jednym trafnym strzałem powalić bestję, lecz Im nie chciał opuścić okazji popisania się swą zręcznością.

Na dany przez Mistrza Wilka znak, cowboy spiął ostrogami opierającego się ze strachu konia i podskoczył do pumy.

(D. c. n.)



Marja Buyno

KOLEDZY.

Ciąg dalszy.

Witold, który nie odstępował Michasia ani na chwilę, podszeptywał mu bezustannie:

— Zazdroszczą ci! O, Zygmunt się wścieka! Ale dobrze mu tak, zarozumialcowi! Po co wszystkimi pomiata! O, ty będziesz napewno pierwszym!

Podszepty te były tak częste i w tak odpowiednich chwilach rzucane, iż w końcu przekonały Michasia:

— Może rzeczywiście mi zazdroszczą!

Powoli wsączać się poczęły w jego duszę nowe jakieś, nieznane mu uczucia: stawał się podejrzliwy, nieufny, szorstki. Nie spuszczał już głowy, lecz podnosił ją ze sztuczną butą, mierząc swych kolegów pogardliwym wzrokiem, jakby chciał mówić:

— Nic z was sobie nie robię! Mądrzejszy jestem od was, zdolniejszy i silniejszy! Nie lubicie mnie, bo wiecie, że was we wszystkiem przewyższam!

Witold ze zwykłą sobie spostrzegawczością zauważył zmianę w usposobieniu swego przyjaciela i niezmiernie się nią cieszył.

— Zobaczysz, przyjdą oni jeszcze do ciebie! Oho!

Tymczasem w domu Michaś miał także ciężkie zmartwienie, o, znacznie cięższe! Mateńka coraz była bledsza, coraz słabsza, a troska coraz bardziej malowała się na jej twarzy.

— Biedna pani, martwi się, bo i ma czem! — mówiła raz Franciszka do chłopca. — Wszystko drogie, coraz droższe, a pieniędzy coraz mniej. To, co było ze sprzedaży mebli, wyczerpało się, a z tych lekcji nie wiele jest! Jedna lekcja znów odpadła!

Michasiowi serce pękało z bólu, słysząc te słowa. A on nic, ale to nic pomódz nie może! Więcej nawet: on właśnie przyczynia się do tego, że jego ukochana matusia musi pracować nad siły, traci zdrowie! On przecież tyle kosztuje: szkoła, książki!

Postanowił sobie nie przyczyniać się, bodaj groszem jednym do zwiększenia wydatków. Wszystkie szkolne potrzeby załatwiał ze swych oszczędności, aż dnia jednego okazało się, że nie ma ani grosza w portmonetce, a tu właśnie potrzeba było kupić cyrkle.

Rozmyślał właśnie podczas jednej z przerw, nad tem, w jaki sposób sobie poradzić, gdy nagle ku swemu wielkiemu zdumieniu usłyszał obok siebie głos:

— Czy kolega zechce zapisać się na liście składek? Jeden z naszych kolegów jest ciężko chory, lekarze kazali mu wyjechać natychmiast. Lecz jest on tak biedny, że niema za co odbyć podróży. Postanowiliśmy dopomódz mu!

Przed nim stał Zygmunt, patrząc mu w oczy mądrem, przenikliwem spojrzeniem. W ręce trzymał biały arkusz, który mu podsuwał.

Michaś odruchowo sięgnął do kieszeni, ale przypomniał sobie, że nie ma ani grosza. Zbladł, usta mu zadrżały, lecz przemógł się i po chwili wyjąkał:

— Nie mam pieniędzy!

— Nie chodzi o to, żeby kolega zaraz dał. Można przynieść jutro. Dziś może kolega tylko zapisać swe nazwisko!—nalegał Zygmunt, uporczywie wpatrując się w Michasia.—Dajemy, co kto może; najdrobniejsza ofiara jest nam miłą.

Ani grosza! Ani grosza!

Przed oczami chłopca migały pozycje: rb. 1, rb. 2, kop. 75, kop. 50 i t.d., i t.d.

Poprosić matki? Nie! Nie! Wszak ona często biedzi się, by mieć co na obiad. Wczoraj zauważył, że miała podarte buciki! Ta jego śliczna, droga mateńka!

Z pewnego oddalenia przyglądała się tej scenie gromada chłopców. Widać było, że ich nadzwyczaj interesuje rezultat rozmowy. Zygmunt przybladł nieco, widząc wahanie Michasia; przyciszonym głosem, nalegającym i stanowczym odezwał się jeszcze:

— Dobrze będzie, jeżeli kolega coś da! Trzeba coś dać!

— Nie mam pieniędzy ani tu, ani w domu! — wyjąkał Michaś.

— A... w takim razie — przepraszam!

Widząc, iż Zygmunt odchodzi z próżnemi rękami, chłopcy wybuchnęli głośno, nie krępując się zupełnie, iż Michaś może usłyszeć.

— A co? Nie mówiliśmy? Niepotrzebnie tylko naraziłeś się na przykrość! Nie wart on, żeby się do niego zbliżać! Samolub! Sobek! Sknera! Wyświecić go ze szkoły! Nie chcemy go mieć między sobą!

— Może rzeczywiście nie ma! — próbował bronić Zygmunt.

— Też gadanie! Patrz, jaki elegancik! Jaki wycackany!

— A stryjaszek przecież bogacz!

— Ho! ho! Nie tak wyglądają ci, co nie mają skąd grosza wydostać!

Michasiowi huczało w uszach, jakby wokół biły dzwony. Jednak doskonale rozumiał wszystko, co mówiono i więcej, niż wszystkie wymysły i urągania, zabolały go słowa Zygmunta. Chciał go bronić; więc nie uważa go za tak bardzo złego, więc można było zawiązać z nim stosunki, ale teraz przepadło, wszystko przepadło!

Trawiony męczarnią wewnętrzną, nie słyszał nawet, jak się zaczęła lekcja.

Pan Molski przyglądał mu się badawczo, wodził też oczami po rozgorączkowanych twarzach uczniów i zrozumiał, że znów musiało zajść coś, co zwiększyło przepaść, dzielącą nowego ucznia od reszty. Widok wielkiego bólu, malującego się wyraźnie na miłej twarzyczce chłopca wzruszył go niezmiernie.

— Ten biedak cierpi niesłusznie! Gotów jestem ręczyć za to, a nie mogę wynaleźć sposobu, by mu pomódz!—powtarzał w duszy, patrząc ze współczuciem na Michasia.

Przy końcu lekcji przyszedł mu świetny pomysł. Uśmiechnął się wesoło.

— Chłopcy! Zajmę wam trochę czasu w tym tygodniu. Chciałbym, byście przygotowali mi za tydzień wypracowanie na temat: najważniejszy dzień w mojem życiu!

Gdy profesor wyszedł z klasy, rozległy się zewsząd głosy wielkiego niezadowolenia. Jakto? W czwartej klasie taki temat? Przecież to za łatwe! Dobre dla drugiej klasy, no, wreszcie dla trzeciej, ale dla czwartoklasistów! I to takich, jak oni! Takich, co są znani w szkole ze swych pięknych wypracowań! Nie, to niemożliwe! Trzeba będzie prosić o zmianę tematu.

Narada trwała długo, była bardzo burzliwa, chociaż wszyscy zgadzali się na jedno: wypracowania nie pisać, lecz poprosić o zmianę tematu!

Michaś naturalnie nic z tego nie słyszał! Dla niego wypracowanie to było wybawieniem! Ah, w niem powie wszystko, wszystkie swoje bóle i przykrości, przyzna się do win, opowie swoją tęsknotę do tych wszystkich, wśród których jest, a jednak jest od nich odsuunięty. Profesor Molski naumyślnie wybrał ten temat, on to czuje! Chciał mu w ten sposób przyjść z pomocą, napewno!

Odtąd całą treść jego życia wypełniało wypracowanie. Gdy czuł na sobie niechętne spojrzenia, gdy dobiegały jego uszu drwiny i przezwiska, gdy ostentacyjnie usuwano się od niego, znosił to wszystko cierpliwie, mówiąc sobie w duszy:

— To się skończy niedługo! Poznacie mnie, przebaczycie, a może nawet pokochacie!

Witold tymczasem był niezadowolony z przyjaciela.

— Nie powinieneś znosić tego tak spokojnie! Widzisz, jak sobie pozwalają! A gdybyś jednemu, drugiemu dał kułaka, zaraz by ci dali spokój!

— Czekaj! Niedługo się to skończy! — odpowiadał z uśmiechem Michaś.

(D. c. n.)

O promieniach, które zagasły przedwcześnie.

DOKOŃCZENIE

Już cały rok upływa,
A wasza postać żywa
Ciągle mi w oczach stoi..,
. . . .
Żegnajcie, bracia moi,
Żegnajcie mi koledzy,
Żegnajcie mi, kochani!
. . . .
A na rozstajnej miedzy
Tę pieśń Wam składam w dani,
To nie jest pieśń skrzydlata,
Choć szatę ma rymową,
To nie są poemata,
Tu prawdą każde słowo.
Nie dla mnie, towarzysze,
Zapały i udania,
A więc Wam tylko piszę
Pieśń cichą—pożegnania.
. . . .
I w takiej smutnej chwili,
Żegnajcie, ukochani,
Żegnajcie, moi mili!
. . . .
Żegnajcie, niewitani...

Kochając swoich kolegów serdecznie, starał się być coraz lepszym, nietylko zo względu na siebie, lecz głównie na nich, aby sam, dążąc do doskonałości, i ich do niej nakłaniał, co było dla niego najmilszem dążeniem. Pragnął też dać to uczucie i innym. Pisał do przyjaciela:

„Metoda obcowania tylko z lepszymi, jest błędną; bo jeśliby się jej wszyscy trzymali, to chociaż gorsi szukaliby lepszych, to zato ci wszyscy lepsi, gorszych odtrącaliby od siebie i tak u nikogoby nie można znaleźć pociechy i polepszenia moralnego.

Jeśli sami nie obawiamy się od gorszych popsuć, powinniśmy z nimi przestawać, aby ich poprawić.

Bo wystaw sobie położenie takiego, który, czując swoją nizkość, szuka, ktoby mu rękę podał: ale nikt mu jej nie podaje, albo dlatego, że nie widzi, zajęty własnem doskonaleniem, albo brzydzi się tą ręką, bo ona wyciągnięta z bagna i powalać może.

Ale jeśli mu nikt z was ręki nie poda, on zginie!

I ze mną cóżby się stało, gdyby się lepsi o mnie nie troszczyli, a więc tacy, od których byłem gorszy; a oni przecież nie brzydzili się mną i podali mi rękę, jeszcze, zanim ich prosiłem o to, bo nie wiedziałem, że tonę. I własnem życiem nauczony, staram się teraz o drugich".

A oto jego poglądy w kwestjach psychologicznych: „Zazdrość, tak w sprawach duchowych, jak materjalnych, jest złą wtedy, jeżeli się zazdrości tylko skutków, a nie środków. Np. można komuś zazdrościć bogactwa, ale trzeba mu wtenczas zazdrościć pracy i wysiłków, jakiemi do tego bogactwa doszedł.

I ja zazdroszczę ci twojej nieugiętości duszy i niezłomności — chciałbym ją posiadać, ale nie żywię bezrozumnego ży-

czenia, aby mi to samo przyszło, tylko chcę ją zdobyć temi sposobami, co i ty, to jest wewnętrzną pracą nad sobą i wytrwałością.

Zazdrość u ludzi niższych sprowadza niechęć, lub nienawiść, u wyższych chęć naśladowania: tak w pierwszym jak i drugim wypadku jest dowodem uznania, a to tem pewniejszym, że nieświadomym, tem szczerszym, że pochodzącym od przeciwnika".

Nader ważną dla młodzieńca, kwestję wpływu towarzystwa, tak określa: „W przestawaniu z gorszymi od siebie nie dam się zepsuć, bo mam już na to dość odporności; co za złe uznaję, tego do siebie nie przypuszczam.

Towarzystwo złych o tyle jednak działa na mnie ujemnie, że kiedy widzę, o ile jestem od nich lepszy, wtedy zdaje mi się, że już jestem całkiem doskonały.

Przeciwnie zaś, kiedy przestaję z lepszymi, widzę, dopiero, ile mi jeszcze nie dostaje. Nadto, ma się dobry przykład, widzi się, jak trzeba działać i co, a przez obcowanie z silnymi, nabiera się siły do dobrego.

Cóż zaś myśleć o tych ludziach, którzy nie są ani źli, ani dobrzy, a w każdym razie niżsi umysłowo i duchowo odemnie, ludzi płytkich, jeżeli nie powiemy wyraźniej, a z którymi trzeba mówić o — niczem?

Otóż w takich wypadkach korzystam dużo — artystycznie, bo zbieram ogromną moc obserwacji komicznych, ale jako człowiek ubożeję,—bo kiedy się widzi taką bezdenną próżnię w tylu ludziach, wtedy wyrabia się niebezpieczna pewność wyższości, słuszna i sprawiedliwa, a z nią o wiele gorsza—pogarda tłumu.

Wolę nie tracić — kosztem zysków artystycznych—jako człowiek".

Kształcąc bezustannie swój charakter, co mu się stało przyzwyczajeniem niezmiennem, obserwował w każdej chwili otoczenie swoje, myślał nad wszystkiem, a to nie dopuszczało do niego nudy, znużenia i wyczerpania moralnego.

Pisze w jednym z listów: „Wszystko, co przyroda stworzyła, jest jednakowo piękne. I nie potrafię ci odpowiedzieć, co mi się więcej podobało: czy Tatry, czy morze, czy wielkopolskie równiny, czy Panieńskie Skały i chaty bronowickie, czy te ciche, zielone pagórki, wśród których jestem obecnie.

I nie tylko otoczenie przyrody, ale i życie zdaje się dla mnie mieć podobne właściwości. Czy ciągła zmiana miejsca, ciągła ruchliwość podróży, czy czas przebyty z kolegami, czy spokój i samotne rozmyślanie, to wszystko, nie powiem, żeby równie było sercu drogie, ale wszystko takie potrzebne i takie ciekawe!

Nie jestem optymistą życiowym; to życie prawie nigdy szczęśliwe nie bywa, wesołe i przyjemne jest tak rzadko, zawsze tak twarde i uciążliwe, a tak często gorzkie: ale zawsze takie ciekawe, tak interesujące ogromnie!"

Oprócz rzeczy wielkich i wzniosłych, zajmował się też i praktyczną stroną życia umiejętnie i rozumnie. Każda chwila dnia miała swoje przeznaczenie, a tego rozkładu godzin, ustanowionego dlań od dzieciństwa, przestrzegał pilnie.

„Pedanterja nie jest bynajmniej zabójstwem ducha" — pisał — „a używana mądrze w rzeczach mądrych, jest podstawą porządku, a co za tem idzie i szczęścia materjalnego".

Usilnie też zachęcał kolegów do pielęgnowania zdrowia i rzuca kiedyś półżartem zdanie: „Siłę woli człowieka poznać można z jego stosunku do zimnej wody".

Posiadaną przez siebie samodzielność i silną wolę, cenił wysoko i zalecał kolegom pracę około jej zdobycia. W liście do jednego z nich pisze:

„Mówisz, że nie masz silnej woli, ani wytrwałości? To, że nad tem ubolewasz i że ją mieć pragniesz, niech ci będzie rękojmią, że przy nakładzie duchowej pracy osiągnąć ją możesz”.

Kochając sztuki piękne, ważną im w urobieniu charakteru przyznawał rolę:

„Sztuka jest to jakby skarbonka o kilku otworach — przez którykolwiekbądź otwór wrzucisz pieniądz, zawsze jednakowo wzbogaci się wnętrze: dusza ludzka. Czas, odjęty muzyce, a przeznaczony na zajęcie praktyczne, jest oczywiście dla niej bezpowrotnie stracony, ale czas, odjęty jednej sztuce, a poświęcony drugiej, bogaci obie podwójnie”.

Dając czytelnikom naszym obraz tego ducha, młodzieńczego a tak potężnego, tak czystego, mamy nadzieję, iż przykład Janusza zachęci niejednego z młodzieńców naszych do pójścia w jego ślady. A choć nie każdy jest od natury tak bogato uposażonym, jak on, w zdolności i zalety, to jednak gdy siły duszy młodej zostaną zwrócone ku ukochaniu rzeczy wielkich i szlachetnych, nie będzie w młodem życiu czasu na nudę, przesyt i rozgoryczenie.

Oby kraj nasz liczył między synami swoimi jak najwięcej naśladowców Janusza!

KRONICZKA.

△ W ścisłem kółku znajomych, przyjacieli i wielbicieli, obchodzono w Warszawie, 50 letni jubileusz pracy literackiej Edmunda Lubowskiego, autora wielu powieści, sztuk dramatycznych i artykułów.

△ Spór pomiędzy Bułgarją a Rumunją, o wynagrodzenie terytorjalne, poddany ma być rozpatrzeniu sądu rozjemczego w Haadze.

△ Walki pod Konstantynopolem toczone są wciąż jeszcze bez żadnego ostatecznego wyniku.

△ Nowe marki rosyjskie, wypuszczone z powodu jubileuszu dynastji, mają być zaraz po uroczystościach jubileuszowych wycofane.

△ W Meksyku wre rewolucja. Stronnicy gen. Diaza, kandydata na prezydenta, zwalczyli stronników Madery, dotychczasowego prezydenta. Walki są krwawe i nieubłagane.

△ W Pekinie zmarła zdetronizowana cesarzowa-wdowa chińska. Podobno popełniła samobójstwo.

△ W Łodzi, z powodu zastoju w pracy, panuje wśród robotników straszna nędza. Zorganizowany specjalnie komitet zajmuje się zbieraniem składek i ofiar, wezwania do których zamieszczają pisma polskie.

△ Nie mają Niemcy szczęścia do swoich balonów. Znów eksplodował ich wielki balon sterowy, „Moguncja 2”. Balon uległ spaleniu, a jadący nim oficerowie z trudem zostali uratowani.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa.** DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3